Tom II. Nr. 8.

11. Marca 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW HERMAN
i
Sieciech wojewoda.

Nie powiem ja, żebyć się nam w Polsce wszyscy królowie co do jednego udali — oj nie! Trafialić się i między nimi słabsi, i tacy, o których niewiele dobrego powiedzieć można.

Władysław Herman siadł na tronie polskim po starszym bracie Bolesławie, co się nazywał *Smiały*. Alec Władysław ani się umył do brata: bo ani był taki odważny, coby go się bali nieprzyjaciele Polski, ani do rządów sprawny. Przytem jeszcze chorzał na nogi, i rzadko kiedy wydalał się z zamku. Wiadomo że pańskie oko konia tuczy — jak dobry gospodarz, tak samo i dobry król powinien też często gęsto sam doglądnąć, a nie spuszczać się we wszystkiem na służbę swoją. Władysław zanadto był leniwy, aby sobie taką pracę zadawał.

Miał on faworyta, niejakiego Sieciecha, który był wojewodą krakowskim. Ten w krótkim czasie tak opanował króla, że mu się oddał ze wszystkiem. Odtąd Sieciech był panem w Polsce

i robił co mu się podobało. — Niby to jeszcze w tem złego nie było, gdybyć taka łaska spotkała uczciwego człeka, coby miał bardziej na sercu dobro kraju, niż swój własny interes. Na nieszczęście nie miał tej uczciwości wojewoda Sieciech. Pan dumny z rodu, jeszczeć się dumniejszym stał z łaski królewskiej — chciwiec nad miarę, krzywdził i obdzierał ludzi — zabierał majątki które sobie upodobał, a jeślić mu się kto hardo postawił, zaraz go śmiercią karał, albo słał precz z kraju, na wygnanie. Napróżno przed królem zanoszono skargi na wojewodę, co sobie tak niesprawiedliwie z ludźmi poczynał — nic to nie pomogło! Król na skargi nie baczył, siedział sobie spokojnie na zamku, a Sieciech jak broił tak broił, bo miał wszystką władzę potemu.

Ale jak to powiadają: *do czasu dzban wodę nosi* — doczekał się nareszcie król i wojewoda, że się cały kraj przeciwko nim zbuntował. Co więcej, sami nawet królewicze pogniewali się na ojca, że sobie dał grać ną nosie Sieciechowi, i że mu pozwolił tyle dokazywać.

A tych królewiczów czyli synów królewskich było dwóch: jeden z nich nazywał się Zbigniew, drugi Bolesław. Zbigniew starszy, był nieprawym synem Władysława, i wychowywał się w klasztorze niby na mnicha. Bolesław zaś młodszy miał za matkę Judytę, córkę króla czeskiego. Długo król z tą żoną nie miał żadnego potomstwa — aż naraili królowej, aby wyprawiła posły z darami do grobu św. Egidziego, na uproszenie pożądanego dziecka. Sama też gorąco się modliła i surowe posty czyniła — i stało się nareszcie, że po długich latach Judyta powiła syna, któremu dano na imię Bolesław. W dzieciństwie doznał on tak strasznej choroby, że mu aż usta wykrzywiło; od tego czasu nazwano go też *Krzywoustym*.

Obaj tedy królewicze stanęli na czele zagniewanego narodu i poczęli Sieciechowi nie na żarty grozić, a zaś króla ostro napominać, żeby się raz pozbył tego zdrajcy, którego już nikt ścierpieć nie mógł. Ale Sieciech jako był całą gębą nieuczciwiec i srogi tyran, tak znowu co prawda, na odwadze mu cale nie brakło i nie zwykł się był strachać przed lada groźbą; a że do tego chytry i podstępny był niby lis, wiec łacno mu było po-

robić sobie stronnników, coby jego sprawy bronili. Król także za nim trzymał. Niebawem oba wojska stanęły przeciwko sobie. Polacy mieli się bić z Polakami. Ale Bogu dzięki nie przyszło do tego! Właśnie przed samą bitwą wojsko wojewody rzuciło broń i powiedziało, że się bić nie myśli. Sieciech wściekał się od złości, groził pałaszem, że pierwszemu lepszemu łeb rozwali jako podłemu zdrajcy, to znowu prosił, zaklinał, złote im obiecywał góry. — Na to wszystko odpowiadało mu wojsko:

— Nie chcemy przelewać krew braterską!

— O zdrajcy! wrzeszczał rozbestwiony wojewoda, targając sobie włosy na głowie.

— Sieciech zdrajca, nie my! zakrzyczało wojsko całą kupą. Uchodź pókiś cały, i nie wódź nas na pokuszenie do grzechu bratobójstwa.

Wtedy król miarkując co się dzieje, odstąpił wojewodę i przeszedł na stronę królewiczów i narodu. Oba wojska pogodziły się. Sieciech jak niepyszny drapnął w nogi, a nie widząc już w kraju bezpieczeństwa dla siebie, uszedł za granicę, i tam gdziesik na wygnaniu marnie zginął.

Wkrótce potem i Władysław umarł, nie zostawiając najmniejszego żalu po sobie, bo też na niego nie zasłużył.

Teraz nad Polską objął panowanie po ojcu Bolesław Krzywousty. Dzielny to był król i wielki rycerz — w niczem nie podobny do ojca. Pod jego rządem pokrzepiła się nasza Polska, stała się znowu możną, sławną i dla nieprzyjaciół groźną. Ale o tem potem. —

O solarskiej figurze.

Podanie.

Była zadymka. Śniegiem sypie w oczy,
Niby król jaki wiatr polami kroczy,
Dmie sobie jarem i dmie sobie drogą,
W bieliznę świat się ubiera chędogą,
I ziemia biała i na niebie biało —
Jakby się pierze kędy z góry siało.

Drogą zawianą wloką się solarze —
Świata niewidno, wszędzie im jednaki;
Ślady po drodze śnieg im suchy maże,
I ni to światła ni to wioski jakiej —
Koniska reszty dobywają mocy,
A tu noc ciemna, i zamieć wśród nocy.

— Hou, hou! stanęli; każdy skoczył z wozu:
Józef rękami bije się od mrozu,
Maciej umiata, koło koni depcze,
Wojciech pacierze po cichutku szepcze.
— Macieju, gdzie wy? —
A dyć przecie żyję! —
— Tabo nie widać, śnieg po ślepiach bije,
Idźcie no spojrzeć czy jest ano droga? —
Maciej się ruszył, wziął do pół batoga,
Biczyskiem grzebie, odwali, przywali:
— Oj nie ma drogi ani trocha dalej!
Hej, hej, Józefie, nocować nam padnie!
Aleć to sypie a sypie szkaradnie.

— Ho, ho, nocować! czy was opętało?
W taką śnieżnicę? by mię tu zawiało,
Albo ja głupi — pfu! powarjowali!...
Zostańcie zdrowi — ja pojadę dalej.

— Hej, hej, Józefie! rzecze Wojciech stary —
Znam ja tę drogę: paryje i jary;
Karczma nieblisko a jazda niechyża,
Patrzcie, krzyż stoi — zostańmy u krzyża,
Czekajmy ranka, wytchnijmy dla koni,
Bóg nas łaskawy od zguby ochroni! —

— Ej bo pleciecie! a co mi tam z tego
Czekać pod krzyżem do ranka białego.
Żeby choć zrąbać a ogień rozpalić! —
Rzekł, aż się tamci obaj przeżegnali,
On skoczył na wóz i powlókł się dalej.

A śnieg się zaczął jeszcze mocniej walić,
I wiatr się zrywa i szumi i śwista,
Drzewa i krzaki zamiata do czysta —
Taki się zerwał i silny i srogi
Aż krzyż zatrzeszczał stary wedle drogi.

— Hej, hej Józefie, bo was pan Bóg skarze! —
Wołali jeszcze za onym solarze;
Lecz on nie słuchał. Wiatr jak opętany
Chmury ze śniegu niesie po nad łany,
Wyje, ugania jak wilków gromada:
Aż krzyż się z trzaskiem łamie i upada —
Aż oni krzykną co pod krzyżem stali:
— Niechaj duch wszelki pana Boga chwali!
A Wojciech stary dodał przeciw złemu:
„*Kto się w opiekę podda panu swemu.*“

I ustał wicher na pieśń oną świętą;
Śnieg przestał sypać jakby go zaklęto —
Cicho się stało, niebo wyjaśniało,
Jeno na ziemi niby chusta biało.

Gdy tak w pacierzach czekają solarze,
Słonko się ano nad ziemią pokaże —
Toż w imię Boże, wio! w drogę ruszyli,
A coś im smutno było w onej chwili.
Jadą i jadą, ledwo kęs ujadą,
Patrzą — aż owo w jarze co przy drodze,
I wóz i konie pogrzebione srodze,
I Józef leży zmarzły, z twarzą bladą.
Toż wezmą cucić — lecz nic tam nie zmoże
Człowiek, gdzie padło *pokaranie Boże.*

Dziś wedle drogi, tam gdzie onej nocy
Solarze Boskiej doznali pomocy,
Stoi figura z pięknego marmuru —
Ludzie ją zowią *solarską figurą*
Na tę pamiątkę, żeć ją fundowali
Solarze oba, co pod krzyżem stali
W czas onej burzy —
Ztąd dla nas nauka:
Zbawion kto w krzyżu opieki swej szuka!

Grześ z Mogiły.

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Dalsze opowiadanie

Józefa z pod Krakowa.

Na czem to ja stanął? aha, jeślić się nie mylę, to ponoć w karczmie było: Jasiek Berdysz dociął Baśce Szeliżance krakowiakiem, aż poczerwieniała biedaczka gdyby jagoda i łzy jej się zakręciły w oczach. A Walek uśmiechnął się i mlasnął językiem.

Owóż powiadam wam dalej — nie dosyć na tem; Janek znać dzisiaj zawziął się srodze na dziewuchę, aby jej do żywego dokuczyć, i zakrzyknął na całą izbę:

— Hej! słuchajcie jeno — chcę żebyście mieli uciechę. Jeżeli który z Szeligowskiego końca Baśkę do tańca weźmie, to mu łeb na cztery części rozwalę. — Jeżeli się jej chce hasać, niech cały wieczór hasa z Walkiem Kuternogą!

Szeligowscy popatrzeli po sobie, ale zobaczywszy, że ich mało, ścisnęli tylko pięście i mruczeli pod nosem: „Damy ci w drugą niedzielę!“ i już naprzód cieszyli się na bijatykę. Wicek Żelazny wymknął się cichaczem, podobno aby na pomoc Szeligowskich zwołać. —

Janek tymczasem hulał, muzyka grała a Baśka siedziała w kącie. Walek częstował ją esencją i palił koperczaki; a prosił aby z nim poszła do tańca.

— Kulejęć trocha, ale w tańcu znać nie będzie.

Baśka opierała się z razu, ale gdy Janek powtórnie stanął przed nią i na pośmiechowisko zaśpiewał:

Oj czemu siedzisz w kącie, oj czemu nie tańcujesz?
Gdy Walek zakuleje, to go ty poratujesz —

zerwała się jak oparzona, i stanąwszy w parze z Kuternogą, oddała Jankowi za swoje, śpiewając:

Oj Jonku, głupi Jonku, oj głupie Berdyszowie!
Oj u was rozum w bótach, oj a u Walka w głowie.

Najzaciętszi nie mogli wstrzymać się od pochwalnego wykrzyku: „Zuch Baśka! tęga Baśka!“ a Janek tańcując dalej przymyśliwał tylko, jakby dziewusze odpowiedzieć. Obtańczył raz, drugi i trzeci — aż mu koncept przyszedł do głowy — stanął i zaśpiewał:

Hej gorący to rozum, co go Baśka tak chwali —
Nie zmieścił się już we łbie, to mu na łbie się pali.

Wszyscy spojrzeli na czerwoną głowę Walka i nowy śmiech. Baśka spiekła raka, bo jużcić i ona nie cierpiała Kuternogi, jeno z wielkiej honorności ujmowała się za tancerzem kulawym. Kiedy przyszła kolej na nią, zaśpiewała znowu:

Czy się na łbie pali, czy się w głowie chowa,
Jonek głupi panicz — Walek mądra głowa.

Wtedy Janek postanowił się inaczej zemścić. Puścił Baśkę z Walkiem naprzód, a sam resztę taneczników zatrzymał. Tu dopiero powstał śmiech wielki. Kuternoga przy wysokiej Baśce kuśtykał z nogi na nogę, wdzięczył się jak suczka w dzieży i przyśmiechiwał. Rósł on jak na drożdżach że go Baśka chwaliła; więc się też przypiął do niej jak bodiak, i przyskakiwał i okręcał się na pięcie i wywijał hołubce z dziewczyną — a Janek zaśpiewał z wszystkimi:

Oj nie szukać pary, jest ci piękna para,
Walek kuternoga i wojtówna Barbara —

i wszyscy nuż się przyzierać, nuż wytrzeszczać oczy, nuż krzyczeć i śmiać się na całe gardło. Baśka stanęła jak głupia, popatrzyła na paskudnego Walka i zamiast odpowiedzieć piosnką, rozbeczała się na głos.

Zamiast jej pożałować, śmiech jeszcze większy. Rzuciła się więc do drzwi i chciała uciec. Berdyszanie zastąpili jej drogę. —

— Puśćcie mnie, puśćcie zbóje! zawołała płacząc. Jakie mi zuchy, pastwić się nad biedną dziewuchą.

Jankowi dziwnie się zrobiło na sercu. Poczuł on, że sobie brzydko z Baśką postąpił i żal mu było.

— Ej! o co byś tam beczała — powiedział, dyć to żarty!

— Żarty — jużcić? żarty! Puśćcie mnie! wołała Baśka.

— No! no! Baśko, nie płacz jeno, — rzekł Janek łagodnie; pójdź, pohulamy sobie. —

— Hola! hola! zawołała Baśka wydzierając się — jeszcze bym z tobą tańczyła! Niedoczekanie twoje... Oddam ja ci, oddam za swoje! dodała składając pięść, a Szeligowski koniec odda wam wszystkim.

— Ho! ho! toć i my mamy pięście, zawołali Berdysze. Ale Janek nie dał jej zatrzymywać, otworzył drzwi i puścił Baśkę, mówiąc:

— No! nie gniewaj się, widziałem jakeś przedwczoraj Walka przywitała na ogrodzie i wiem, że go nie cierpisz. Chciałem ci figla spłatać.

Za chwilę przybył stary Szeliga i kilku krewniaków. Spotkał on Baśkę na drodze i dowiedział się o wszystkiem.

— To ty paskudniku jakiś będziesz nad mojem dzieckiem przewodzić! krzyknął na Janka.

— Ho! panie wójcie, wasza dziewka nie żadna wielmożna pani, żeby z nią nie żartować, odrzekł jeden z Berdyszów.

Nie obeszło się więc i dziś bez bitki. Ale Janek nie dowodził jak przódy i widać było, że Szeligę starego wymija. Szynkarz zagodził sprawę. Kuternoga, chociaż taki wielki wojak, nie ujął się ani za Baśką, ani za wójtem — a szynkarz mnie opowiadał, że się podczas bitki za szynkwas schował, niby to szukając zgubionego grajcara.

Od tego czasu wojna między Jaśkiem i Basią rozpoczęła się na dobre. Ledwie się nazajutrz obudził i wyszedł w pole, aliści widzi, że mu ktoś konie z paszy rozpętał, a dzielne szkapy poleciały na wszystkie wiatry. Gonił ich pół dnia, a gdy zziajany wracał, ujrzał Baśkę śmiejącą się w oknie. Pogroził jej palcem i postanowił zemstę.

Na drugi dzień Baśka, wychodząc rano do swoich gęsi, które bardzo łubiła, ujrzała, że wszystkie zczerniały jak węgiel. Ktoś je posmarował mazią. Kiedy je myła nad rzeczką, Jasiek okopujący w ogrodzie ziemniaki, śmiał się na całe gardło.

Trzeciego dnia rano zobaczył Janek, że ziemniaki wczoraj okopane, znowu zrównaną mają ziemię i udeptaną nogami. Nogi były malutkie: Jasiek poznał, że to Baśka zrobiła.

Zato przez zemstę kokoszkom ulubionym Baśki poucinał prześliczne czuby.

Przyszło żniwo: Baśka na zarobku u pana tak się zwijała, że przodkującego zawsze Janka zostawiała w tyle za sobą.

— Tęga dziewucha i robotna, szkoda że Szeliżanka! pomyślał sobie Janek. A że mu i teraz konie rozpętywała i puszczała na cztery wiatry, więc wracając raz z końmi, zawołał do śmiejącej się Baski:

— Słuchaj, psotnico diabelska, jak mi raz jeszcze konie puścisz, to ruski miesiąc popamiętasz.

— Albo cię się to boję, odrzekła Baśka.

Ale Janek chciał dotrzymać słowa. Poszedł spać do krzaków przy pastwisku, a schowawszy się dobrze, czekał rana. Ledwie się zmierzchało, aż tu Baśba leci chyłkiem od chałupy, prosto ku spętanym koniom, a ogląda się, czy jej kto nie widzi. Jankowi aż serce zabiło z radości — czeka jeszcze — aż tu gdy się Baska schyliła do koni — on hyc! z krzaków i Baśkę za ręce.

— No cóż? dotrzymałem ci słowa. Poczekaj!

— Mój Janku! już mnie puść, już nigdy nie będę.

— Aha! nigdy nie będę! Teraz to „nigdy nie będę“. A małom się nalatał za memi końmi—? A mało szkody narobiły? Sprawię ja ci łaźnię!

Ale dziewucha tak pięknie prosiła, tak była przestraszona, że Janek jakoś nie mógł ją wybić. Baśka była piękna dziewucha jakich mało, a u młodego krew nie woda. To i Jankowi się gorąco zrobiło i pomyślał sobie, żeby ją wolał pocałować, gdyby to nie była Szeliżanka.

— A tyś mi to mało dokuczył, mówiła Baśka. Przypomnij sobie, jakeś mnie w karczmie na pośmiewisko ludzkie wystawił.

— A tyś mi powiedziała, żem głupi. —

— A tyś mi gęsi mazią obsmarował, że ich dotąd wymyć nie mogę.

— A tyś mi okopane ziemniaki zadeptała.

— A tyś mi uciął czuby moim kokoszkom.

— No słuchaj Baśko! już cię nie wybiję — ale cię pocałuję i będzie kwita.

— Oho! pocałuję, zawołała Baśka czerwieniąc się — jeszcze Berdysz nie dorósł do mojej gęby.

— Aha! bo Walek dorósł!

— Ani Walek, Walka nie cierpię.

— A kogoż byś wolała, Walka czy mnie? zapytał Janek, któremu się dziewczyna coraz bardziej podobała, im bardziej się jej przyglądał.

Baśka nic nie odpowiedziała, jeno zczerwieniła się znowu. I ona uważała, że Janek szwarny i nieszpetny chłopiec — i dziwnie jej się na sercu zrobiło.

— Puśćże mnie już, puść! zawołała. Spieszy mi się do chałupy, trzeba śniadanie gotować.

Ale Janka coraz bardziej diabeł kusił, aby dziewuchę pocałować. Porwał ją, przycisnął już do siebie, kiedy Baśka jak szarpnie sobą, jak pchnie Janka, tak to się ten dopiero opamiętał, kiedy była już na drugim końcu pastwiska. Odwróciła się więc jeszcze i krzyknęła do niego:

— Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło!

Janek został na miejscu i długo myślał o Baśce. Wjechała mu do łba piękna dziewucha jak fura siana — a chociaż jej nie cierpiał jako Szeliżanki, to musiał przyznać, że jako dziewucha była pierwszą we wsi. Westchnął więc i powiedział sobie po cichu:

— Co za szkoda, tęga i robotna dziewka, ale Szeliżanka! Co Baśka myślała nie wiem. To pewna, już nie poszła odpętywać konie Jankowi. Janek czekał na to, bo myślał że drugi raz lepiej mu się kara uda; ale nie mógł się doczekać. Kiedy się spotkali gdzie razem, nie patrzeli już jak zbóje na siebie, ale też jakoś nie patrzeli wcale. — Baśka tylko raki piekła, a Jasiek się za nią oglądał. Kilka razy zdobył się nawet na grzeczne słowo. Kiedy nikt nie słyszał, Baśka także grzecznie odpowiadała.

Tymczasem Walek kuternoga nie zasypiał gruszek w popiele. Od czasu ostatnej bitki w karczmie, nie wiedzieć dla czego, uchwycił się Szeligów wyraźnie i u Berdyszów już nie bywał. Pewnie mu się zdawało, że się dziewucha w nim zakochała. Jak się też przypiął do starego i córki — ani daj Boże odsadzić natręta. Całemi dniami siadywał w chałupie Szeligi, a że

był mądry człek, więc od rodziców zaczynał. Stary Szeliga czasem całemi godzinami radził z Walkiem i widać było, że radzą o skórze Berdyszów. Walek obiecywał Szelidze złote góry: obiecywał, że wygra proces o role odydwie, a do dworu wynalazł liczne protensje, które miały zachodzić między kmiecą rolą starego i gruntami pańskiemi. Sam Szeliga śmiał się z początku z konceptów Walka i nie wierzył, aby to, co od wieków było pańskiem, miało stać się jego własnością; ale jak mu kuternoga jął dowodzić z patentów, których nie rozumiał i strzępić niemieckiemi słowami, których się gdzieś tam na pamięć nauczył, tak aż podskoczył z radości, bo był człek łakomy i pieniacz. Żebyście wiedzieli, jak to tacy niby mądrzy ludzie, przekręcają prawo i obracają niem jak szewc kopytem, to wam tu jedną przywiodę rozmowę. Walek siedział nad mapą gromadzką i szukał parceli w książce. Szeliga, który nie wiele rozumiał, co znaczy mapa i jak wieś może być wymalowana na kawałku dyktury, pykał sobie fajeczkę i dolewał Walkowi piwa do szklanicy.

— Mój wielmożny panie wójcie! mówił Walek, bo tak Szeligę nazywał—ja tutaj tak uważam, że wy macie prawo do pastwiska pańskiego, co to poniżej waszego pola, gdzieście łońskiego roku mieli pszenicę.

— E! gdzieby ta, odrzekł wójt, ale widać było, że się rozciekawił. To tylko pan pozwolił mi paść na tym kawałku, że mi było blisko.

— I wyście paśli?

— A jużciż!

— A odrabialiście?

— Ej nie! To niewielkie kawałątko, to pan pozwolił paść na niem bez odrobku, za to żem zawsze pierwszy wysyłał ludzi do żniwa.

— Aha! otóż mamy *recht.* A dawno już?

— Będzie z dziesięć lat.

— Ho! ho! *preskrypcya!* To pastwisko wasze! tak stoi w patencie *Oberstergerychtkommissionsgerychtu.* A na wielkiem pastwisku czyście także paśli?

— No jużciż, mój parobek nieraz pasał, choć nie było wolno.

— I widzieli go?

— A dyć go nieraz spędzali Berdyszanie.

— No to znowu *recht!* kiedyście pasali, toście używali, to wasze.

— A karczma pańska stoi pono na waszym gruncie? —

— Ej, to jeszcze dziadkowi pan nieboszczyk dał za to dobry kawał pola za górą.

— Że dał, to dał — ale karczma i grunt wasz.

— No! kiedy preskrypcya? jak gadacie. —

— Tu nie ma preskrypcyi, mówi *Oberstergerychtkommissionsgerycht.* — Ludzie mają mało, a pan dużo, to go nieszkoda.

Szelidze się to niby podobało, chociaż spojrzawszy na Pana Jezusa na ścianie, przypomniał sobie: że cudzą własność szanować potrzeba. Że zaś Walek tylko prawnika udawał, każdy wam powie, co umie po niemiecku, że *Oberstergerychtskommissionsgerychtu* nie ma na świecie, ze tylko Walek sobie kilka słów do kupy zlepił, aby ludziom oczy mydlić. A także nie ma takiego prawa, coby komu złodziejstwo i szkodnictwo pochwalało, bo prawa z wiarą świętą i przykazaniami boskiemi zgadzać się muszą, a dziesięcioro Bożego przykazania starsze i świętsze od każdego prawa. Z tego nauka, że choćby was tacy mędrale jak Walek namawiali do prawowania się o własność czyją, to nie dajcie się namówić, bo człowiek z niczyjego nie będzie tłusty, jeno ze swego. Lepsze własne swoje a prawowierne, niż bogactwa a cudze. Jeśli wam zaś mówią, że pana nieszkoda, bo pan ma dużo, to pamiętajcie, że tak samo może jutro powiedzieć pierwszy biedak w obdartej sukmanie bez bótów, coby wołał siedzieć w waszej zagrodzie. Miła ci twoja kapota i grunt po ojcach — miły też i panu jego surdut, dwór i grunta pańskie. Tacy ludzie jak Walek, nie rozumieją ani boskich ani ludzkich praw, dla tego trzeba ich omijać, jak owce parszywe.

Ale chociaż Walek ze Szeligą dnie całe siadywał, to i o Baśce nie zapomniał. Wodził on za nią łakomem ślepiem, jak kot za myszą, albo lis za kokoszką, a jak ją gdzie spotkał, nuż smalić cholewki, nuż się przysuwać, nuż komplimenta gadać. Chociaż był skąpy, przywoził jej z każdego jarmarku i kiermaszu gościniec: to paciorki na szyję, to chustkę jedwabną, to pier-

ścionek albo kulczyki tombakowe. Baśka za każdą razą rzuciła darami Walka o ziemię.

— Nie potrzebuję nic od ciebie, noś sobie innej a nie mnie.

— Oj! moja Basiu prześliczna, gadał Walek, czemużeś ty taka harda? Chociażem już niemłody i nie wykręcam się na pięcie, tom stateczny i uczciwy człowiek, a chłopu trzeba patrzeć na stateczność. Cóż tam przyjdzie z tych zawalidrogów i bijaków, co to cały dzień w karczmie przesiedzi, a w nocy żonę bije i garnki tłucze? Jabym tam o biciu nie myślał — dodał uśmiechając się bezwstydnie.

— A ja o tobie myśleć nie chcę i nie będę. Znam ja cię lepiej jak cała wieś, mój mądry pisarzu, żeś ty trusia niby i stateczny, ale fałszywy i zły jak kot! Połykasz ty ślinkę, bo widzisz żem jedynaczka, a kmiecia rola niczego! Ale poczekaj sobie mędralu, nie taka ja głupia, żebym sobie dla takiego obieżyświata świat zawiązała. Chyba bym też oczy podziała, żebym takiego rudego łba miała dostać. —

— Ho! ho! moja panienko, odrzekł Walek wściekając się od złości — widać ci jakiś chłopak do głowy wjechał.

— Czy wjechał czy nie wjechał, tobie nic do tego.

— Właśnie że mi do tego, bo ja ojcu powiem. A wiem, wiem, kto to taki?

— A któż? — zapytała Baśka ciekawie. —

— Jasiek Berdysz — szepnął Walek Baśce do ucha. Nie w ciemię mnie bito, moja panno: widzę wszystko. Kłócicie się to niby i robicie sobie na despekt — ale jedno za drugim jak zapalił.

— Oj mędralu, mędralu, przecież ty głupi — zawołała Baśka czerwieniąc się. Widać było, że się jakoś nieszczerze zapierała.

— No! że Berdysz się z tobą nie ożeni, to jak to słonko na niebie świeci.

— A że ty się ze mną nie ożenisz, to jak to prawda, że masz rudy łeb i kulawą nogę.

— Zobaczymy! rzekł Walek.

— Zobaczymy! odpowiedziała Baśka.

Na dzisiaj dość tego będzie.

PODRÓŻ NA ŚW. KALWARJĘ*).

Opowiadanie Wojciecha z pod Opatowca.

— Którędyście Józefie szli tego roku na ś. Kalwarję? zapytał Wojciech obok siebie idącego sąsiada Józefa do kościoła na sumę.

— Jużci przecie wiecie, mój Wojciechu, odpowiedział Józef, że nam od Wisły zawsze jedna i ta sama droga: na Bochnię, Gdów i Myślenice.

— A widzicie mój Józefie, odrzekł Wojciech, tamtędy też i ja zdawna prowadzał moją kompanię, a tego roku obróciłem się na Szczurowę, Mikluszowice, na Niepołomice, ztamtąd wstąpiłem do Staniątek, bo niedaleko z drogi, potem na Wieliczkę, na Świątniki do Izdebnika, i do św. Kalwaryi.

— I czego was też tamtędy Pan Jezus poprowadził, czyście krótszej drogi szukali? zapytał Józef.

— Ej, gdzieby tam człek krótszej szukał drogi; kiedy już raz puści się na to święte miejsce, to mu już jedno, czy bliższą, czy dalszą drogą. Ale to widzicie, mój Józefie, wszystko moja ciekawość. Widziałem idąc na Bochnię, wszystkie kościoły po drodze; zapragnąłem tego roku inne nawiedzić. I jużcić tego nie żałuję, bo to com widział na tej drodze i com słyszał, warto choćby i raz jeszcze tak daleko było do świętej Kalwaryi. Wiem też, że i wy, da Bóg doczekać, tą drogą pójdziecie, gdy wam opowiem o tem, com widział i słyszał.

Niech tam ludzie mówią co chcą, ale trzeba szczerze wyznać, że gdyby nasi panowie nie byli zdawna fundowali kościołów, toby się człek teraz nie miał ani gdzie poczciwie pomodlić.

Otóż odwiedziwszy kościół w Szczurowej, co go tam pobożni parafianie tak pięknie aż miło odnowili, szliśmy do Mikluszowic. Ale tu pożal się Boże ludu! przeszło 30 lat jak nie ma kościoła; a parafia liczy koło siedm tysięcy dusz. Dalej idąc w tych samych dobrach Niepołomickich, należących z dawna do królów Polskich, a teraz pono do jakichsić bogatych panów, co w Wiedniu siedzą — we wsi Zabierzowie, aż zgroza bierze wymówić, żyd zalicytował i wystawił drewnianny kościół. Żal ścisnął serce,

*) Ma się tu rozumieć Kalwarja Zebrzydowska a nie Pacławska — tamta leży nieopodal Krakowa — a ta pod miastem Dobromilem.

gdy to ludzie opowiadali, i dopiero się człek trochę pocieszył, kiedy wszedł do kościoła w Niepołomicach. przecie to nie ma jak ładny kościół! jak człek wlezie do niego, to się mu wydaje, jakby mu się niebo do ziemi przybliżyło, tak i serce rośnie, i duszy aż się łacniej robi.

Takci mi było, mój Józefie, jak mię Pan Jezus zaprowadził do tego Niepołomickiego kościoła. Sam nie wiedziałem na co mam wprzód patrzyć. Aliści widzę człeka, sprzątającego po kościele, trochę z miejska ubranego; nuż ja do niego: Niech będzie pochwalony jezus Chrystus! Z przeproszeniem, że śmiem się spytać, czyliście też nie kościelny tutejszy? — Tak jest, odrzekł. — O to też pewno wiecie, kto ten kościół fundował? — A któżby inny, odrzekł, tylko Król Polski Kazimierz Wielki, co go to Królem chłopków zowią. Nie żałował nakładu, to też kościół przeszło pięćset lat stoi, a nie wali się. Ot widzicie, na tym obrazie historja odmalowana, jak ten kościół poświęcali: król fundator stoi w płaszczu czerwonym i z koroną na głowie. I tu pokazał mi wielki obraz wedle wielkiego ołtarza. A ten drugi, ot heń obraz, co też znaczy, jeśli śmiem was zapytać? — To znowu, odrzekł kościelny, jest obraz dziesięciu tysięcy śś. Męczenników. W dzień tych Świętych Pańskich nasz Kazimierz pobił Litwinów, i dla tego na cześć tych śś. męczenników ten kościół fundował.

A tę kaplicę świętego Karola, mówił dalej, wybudował Karol Lanckoroński, wielki Pan polski. — A ten nowy ołtarz świętego Antoniego, któż sprawił, śmiem zapytać? Ale tu kościelny nic nie rzekł, jeno pilno przeszedł na drugą stronę kościoła i prawi: — Tę znowu kaplicę fundował inny Pan polski, co się zowie Branicki. Na chwałę Matki Boskiej ją poświęcił. Mamy też od tego Pana dużo różnego naczynia śrebrnego, co się niem lada kościół nie pochwali.

Tak widzicie, prawił dalej kościelny, że to nasi polscy Panowie nie zawiązywali worka, kiedy szło o to, aby Bogu na chwałę wystawić kościół, a ludowi na pożytek; bo jużcić dla siebie samych tych kościołów nie potrzebowali — tylko więcej mieli na oku lud, aby się miał gdzie modlić. No, Bóg was prowadź w dalszą drogę, a ja pójdę do swej roboty—rzekł kościelny

i znowu dalej sprzątał. Ja nie wymawiając, uklęknąłem i odmówiłem z kompanią pacierz za króla Kazimierza i tych Panów, co się przyczynili do wybudowania onego kościoła.

Ledwom wyszedł mój Józefie z onego kościoła, aliści ku południu znowu widzę jakiś wspaniały kościół. Pytam idącego dziadka: Jak się zowie ten kościół, hań? a on mi na to:

— Jużcić klasztor Staniątecki, kędy Panny zakonne siedzą.

— A przejdzie tą drogą ku niemu? — Sama droga was zaprowadzi, odrzekł dziadek. — Bóg zapłać za dobre słowo, mówię dziadowi, i walę co tchu, aby jak najprędzej przyjść do tych Staniątek, bo i kościół zdala ciągnęł do siebie, a po drugie i ciekawość, bom jak żyw jeszcze zakonnej Panny nie widział.

Ale com widział i słyszał w Staniątkach, to drugim razem wam Józefie opowiem, bo już sygnują, trzeba pospieszać prędzej do kościoła. —

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęsne przypadki. Już pono dawno nie pisaliśmy wam o nieszczęsnych przypadkach, jakie się tu i ówdzie po naszym kraju wydarzają. A wiedzieć o tem nie zawadzi; bo naprzód jak to mówią: *doświadczenie uczy rozumu* — więc czy to ze siebie, czy z drugiego wzięte doświadczenie, zawsze ono nas może i nawet powinno nauczyć *ostrożności* w rozmaitych wypadkach. Powtóre, chrześcijańska to rzecz ulitować się nad nieszczęściem bliźniego i za poszkodowanym westchnąć do pana Boga. Owóż posłuchajcie: — Jeszcze tamtego roku, coś na tydzień przed Bożem Narodzeniem, zapalił się dworski magazyn w *Dźwiniaczce* w obwodzie Czortkowskim. Każdy zrozumie co to był za ogień z tej gorzałki — niech Pan Bóg broni! O ugaszeniu ani myśleć, wszystko się tam spaliło a byłoć jak mówią z 10.000 garncy tej gorzałki. Przytem i stajnia dworska i siła innych sprzętów gospodarskich poszły w niwecz. Całą szkodę obrachowali na 8.000 reńskich — to nie bagatela! Jak słychać, to parobcy zawinili, co brali z magazynu wódkę, a przytem fajki palili. Oj ta fajczysko obrzydła! już ona niejednego przyprawiła o nieszczęście a taki ją ludzie nie porzucają. Mniejsząć jeszcze o to że palą; żeby choć nie włóczyli się z nią wszędy, zwłaszcza po takich miejscach, gdzie o nieszczęście nietrudno. — W Złoczowskiem znowu, we wsi *Ściance* po Bożem Narodzeniu spaliła się cerkiew tamtejsza. Powiadają ludzie, że przez nieuwagę djaka, co zostawił ogień potrzebny przy służbie Bożej do kadzenia a nie przygasił go. Z tego to ognia miała się cerkiew zająć. — Już tego roku, bo prawie przed miesiącem paliło się w *Kosowie* na Kołomyi. Naprzód miało się zająć u żyda, a także przez nieostrożność jak się domyślają. Od żyda przeniósł się ogień na inne domy. Jaki tam był ratunek niewiadomo — dość że cosik z pięć domów na nic pogorzało. — Ostatni zaś wypadek to już nie ogień, ale śmierć straszna jednego włościanina z *Horbkowiec* ze Złoczowskiego. Jechał on sobie z lasu i wiózł drzewo na budynek. W drodze nieszczęście chciało że spadł z woza, a na niego zwaliło się drzewsko i nieboraczyska na miejscu zabiło.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**